

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 142.

Prenumerata w Warszawie
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 14 czerwca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Uroczystość zesłania Ducha świętego (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Stanisław Starzyński (z drzeworytem). — Bender (z drzeworytem). — Dawne ubiory i uzbrojenia (cztery drzeworyty) dalszy ciąg. — Powieści grabarza. — Korrespondencya od redakcyi. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Tancielarz (początek) (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

UROCZYSTOŚĆ ZESŁANIA DUCHA ŚWIĘTEGO.

Kościół nasz uroczystość obchodzi pamiątkę zesłania Ducha świętego na apostołów, która przypada pięćdziesiątego dnia po wielkiéjnoocy. Ztąd nazywa się *pięćdziesiątnicą*, po łacinie *Quinquagesima*, po grecku *Pentekostos*.

Apostołowie i uczniowie Chrystusa, powróciwszy z góry Oliwnej, z obawy przesładowania, zostawali w ukryciu, gotując się wszyscy, podług rozkazu Zbawiciela, do przyjęcia Ducha świętego. Kiedy dnia dziesiątego, o godzinie 9 z rana, byli na modlitwę razem z Najświętszą Maryją Panną zebrani, z nagła powstał szum wielki gwałtownego wiatru i napelnił cały dom w którym się znajdowali. Wtedy ukazały się nad każdym z nich ogniste języki i Duchem świętym napelnieni zostali. Na ten szum zbiegło się wielu ludzi, i widzieli to cudowne zjawisko na apostołach, którzy wtedy niejako stali się nowymi ludźmi, obdarzonymi mądrością i gorliwością w wyznawaniu wiary Chrystusowej.

Było wówczas w Jeruzolimie wielu Żydów z różnych krajów zebranych. Ci z wielkiem zadziwieniem słyszeli apostołów mówiących językami różnych narodów, i cud ten sprawił, że wielka liczba przytomnych przyjęła wiarę chrześcijańską.

W sobotę przed uroczystością zesłania Ducha świętego, kościół nasz zachowuje zwyczaj, iż święci uroczystość wodę do chrztu, z temi samymi obrzędami jak w wielką sobotę, na pamiątkę, że w tym dniu katechumenów chrzczono. Nabożeństwo to dawniej zaczynano z wieczora, a przeciągało się do późnej nocy.

W potocznej mowie nazywamy tę uroczystość *Zielonemi świętkami*, z tego powodu, że zwykle wtedy ma się cała ziemia Boża, kwiaty się rozwijają, a rola faluje już kłosami ozimego posiewu.

W święta te stolica Polski, Warszawa, zdawna w godowe przystrojona się szaty. Z dalekich okolic wieśniacy przez piątek i sobotę tysiącami fur zwozili zielone gałęzie brzeziny, stopy tataraku i pęki ziół

największe tłumy ciągnęły od świtu w niedzielę na Bielany, do ulubionego sosnowego lasu, i na nabożeństwo do klasztoru kościoła księży kamedułów.

W lasku tym od tygodnia już robiono przybory na przyjęcie licznych gości. Szalasy, namioty, stragany stały w pogotowiu. W niedzielę i poniedziałek do południa lud warszawski, połączony z włościanami z pobliskich wiosek, bawił ohocho na Bielanych, zostawując odwieczny dzień drugiego dla zabawy bogatszych.

Od godziny piątej po obiedzie w poniedziałek zaczął modny świat warszawski zwyczajową z dawnych czasów pielgrzymkę bielania, na którą wysadzano się z całym przepychem i okazałością.*

Cudzoziemiec w owęj chwili mógł powziąć wyobrażenie o zbytku, bogactwie i próżności mieszkańców stolicy dawniej Rzeczypospolitej. Dziś szczęściem przeminęły te czasy i należą już tylko do wspomnień odległych.

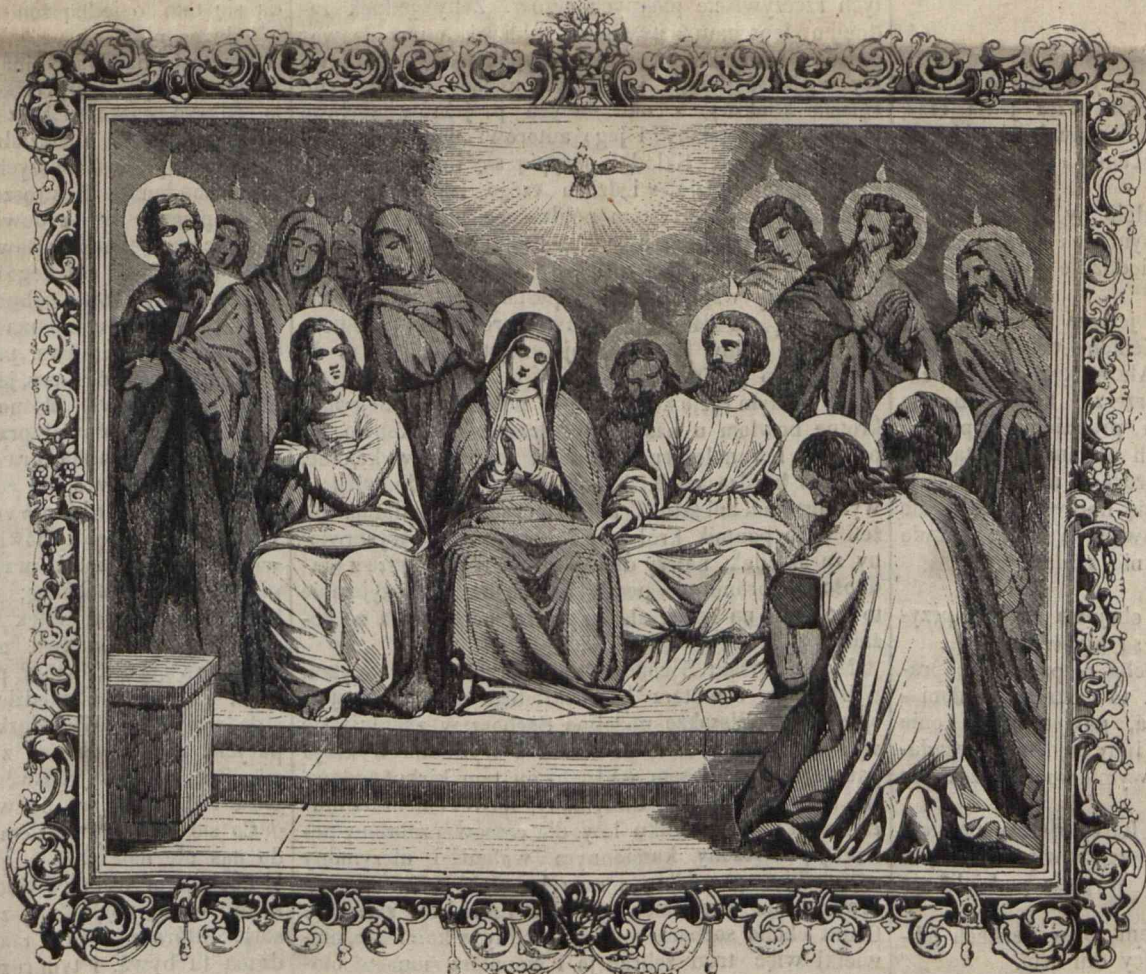
Na całym obszarze naszego kraju, Zielone świętki lud nasz obchodzi uroczystość według starego obyczaju, z tą tylko różnicą, że skutkiem wyniszczenia lasów, nie może już zdobić tak obficie odrzwi chat swoich, wrót i plotów zieloną brzezina. Z musu najczęściej dziś poprzestaje na polnym kwieciu i tataraku.

Po wielu okolicach w Zielone świętki rozpoczynają palić *ognie sobótkowe*, a jak Ruś nasza nazywa, *kupalne*. Zabawa ta, zabytek z przedchrześcijańskich czasów, trwa wtedy aż do wigilii św. Jana, czyli 23 czerwca. Ze wschodem słoń-

ca dnia 24 gasną wszystkie stopy płonące.

W Galicyi w Zielone świętki lud gdzieniedzie obchodzi jeszcze uroczystość z pogańskich wieków, zwaną *turzyce*. Nazwę tę wyprowadzają badacze nasi od zwyczaju obchodzenia z turem (zubrem), który

(*) W Nrze 36 naszego Tygodnika, opisaliśmy tę pielgrzymkę do Bielany.



ZESŁANIE DUCHA ŚWIĘTEGO.

polnych, do przystrojenia każdego domu. Brzezina zatykano przed drzwiami mieszkania, ziołami i kwiatami ubierano okna, tatarakiem posypywano podłogę w sieniach i pokojach.

Lud pracowity Warszawy rozlewał się po okolicach miasta w liczne gromady, dla użycia przechadzki i odetchnienia świeżym wiejskim powietrzem. Jedne dążyły do Czerniakowa, drugie na Saską kępe; ale

niegdyś napelniał puszcze nasze! Około Pińska ubierają dziewczynę w suknię plecioną z samych gałązek brzoźowych, naksztalt płaszcza, a dziewczęta jej towarzyszą, przy śpiewie i tańcu. Na Białej-Rusi zwiącały tydzień od tych świąt *zielonym*. W Morawii dziewczęta obnoszą zieloną gałąź przystrojoną. Słowacy w Węgrzech, najbliżsi nam mową, Zielone świątki podobnie *Turzycami* zowią.

W wyobraźni ludu ukraińskiego, w noc poprzedzającą Zielone świątki, zaczynają leśne boginie, Rusalki, swe zabawy i swawole, a biada człowiekowi, gdy wpadnie w ich ręce. Zaczepione długimi zielonemi warkoczami o gęste konary dębu lub brzozy, huśtają się swobodnie, strasząc podróżnych zapuszczających się w las tej nocy. Z drzew skaczą na konia albo wóz przejeżdżającego, i z dzikim śmiechem dopoty go laskoczą, dopóki nie wyzionie ducha.

Dziatwa wiejska w tę noc po wsiach, dla ochrony od laskotania Rusalek, schiele sobie piolun pod głowę. Gorycz jego i zapach wystrasza je z chaty.

Jeżeli gdzie pastuchy młode pasą bydło w lesie, Rusalki pojawiają się w postaci pięknych dziewczek wiejskich i wabią do siebie. Biada temu, który ulegnie pokusie i odstąpi ogniska: zawiedziony w gąszcz boru, pod laskotaniem skona. Pozostałe, aby przyltnąć jego śmiech krzykliwy, podnoszą śpiew, a śpiewają tak cudnie i uroczy, że się serce w człowieku rozplywa. Jedyńm sposobem odróżnienia Rusalki od wiejskiej dziewczki, jest pilne przypatrzenie się jej włosom. Rusalki mają je zawsze zielone.

Wiele pieśni lud ukraiński nucił o pięknych Rusalkach, jak w noc Zielonych świątek rozpoczynały swe igraszki i stawiały wabne sidła na dzielnych parobków. Niewola i gorzalka, dwa wrogi naszego ludu, zatarły je w pamięci jego. A wiele to cudnych pieśni i dum pod tak przeważnym zaginęło naciskiem! Dziś wyrzec możemy z jednym z największych poetów naszych (J. B. Zaleskim):

„Że te dumy z laty,
Przenuciwszy długie chwile,
Z ludźmi głuchną gdzieś w mogile.“

K. Wł. W.

Kronika tygodniowa.

Nie doniosłem wam przeszłego tygodnia o ważnej nowości, że w Warszawie bawił przez jakiś czas, czy nawet bawi jeszcze, (bo doprawdy brakło mi czasu a trochę i chęci do przekonania się o tém), pan Rarey, ujeżdżacz dzikich koni.

I byłbym może puścił zupełnie w niepamięć ten tak wielce zajmujący fakt, gdybym nie otrzymał dwóch listów wytykających mi to zaniedbanie i wzywających do naprawienia błędu.

Ba—żeby to odbywały się jeszcze u nas wyścigi konne, pośpieszyłbym z doniesieniem tak pożądanym dla lubowników tej zabawy. Ale wyścigi poszły w zapomnienie, jak wiele innych rzeczy, koźmi obecnie mało kto się zajmuje, a jeżeli pragniemy poprawy, to nietylko końskich, ile ludzkich ułomności; dotąd jednakże skutecznego na nie ujeżdżacza nie znaleźliśmy. Wprawdzie i u nas znajdują się narowiste konie, ale niemniej napotkać można narowistych ludzi; szkoda że pan Rarey środka na nich nie znalazł.

Naprzykład....

Ale po co zaraz przykłady? obojdzie się bez przykładów tym razem, przykłady są niebezpieczne!...

Twierdzimy tylko że nie trzeba rozpaczać o poprawie, bo kiedy pan Rarey, jak to czytamy w doniesieniach które mamy pod ręką, nawet dzikie konie ujeżdżać potrafi, to może kto inny dojdzie do pożądaniej doskonałości i w drugiej wymienionej przez nas części zadania.

Jak nateraz dość o panu Rarey'u, leży bowiem przed nami kilka ciekawych szczegółów pobieranych z różnych stron kraju naszego. Wypada podzielić się niemi z czytelnikami.

Więc najprzód donosimy wam że w Żarkach odbył się wielki jarmark, trwający dni ośm.

Konie były drogie, wina bardzo mało wyszło, pijanych prawie nic.

To jedna strona medalu, ale druga nieszczególna. „Po jakie licho (pisze do nas w energicznym stylu korespondent) przyjeżdżają na jarmarki prowincjonalne łajdaki, obieżyświaty, wydrwigrosze? Czemu ich w Warszawie nie zatrzymacie?“

Ba, mybyśmy wprawdzie pragnęli pozbyć się wszystkich ludzi wyżej wymienionych kategorii, ale nie chcielibyśmy narzucać ich nikomu. A zresztą czyliż to naszą jest winą, że Warszawa, jak każde trochę więk-

sze miasto, posiada taką ilość śmieci społecznych, że i na własne potrzeby jej wystarczy, i kogo innego jeszcze niemi obdzielić zdoła? Korespondent mówi tu o tych handlarzach, którzy włóczą się po jarmarkach z kramikami wyrzuconych z obiegu towarów i puszczają je na loteryjkę. Że tam ktoś za 40 groszy wygra guzik ołowiany, mniejsza o to, jeżeli jest amatorem próbowania losu i daje się zwabić wykwiutnością ołowianych guzików. Ale gorszą jest ta spółka, która zakładała tam banki i znaną grą *w trzy karty* ogrywała, to jest okradała ludzi. Podobno zysk czysty tej spółki na jarmarku żarekim wynosił 36,000 złp. Spora to sumka, jak na dzisiejsze ciężkie czasy, zwłaszcza kiedy słyszymy tu i owdzie narzekania, że do pożądanego ulepszenia przystąpić nie można, z powodu braku pieniędzy. Jak nam się zdaje gra *w trzy karty* nie jest wcale ulepszeniem, a jednakże na nią pieniądze się znalazły. Nie na oszustów więc, ale na oszukanych powstawać tu należy, bo cóż wskóraliby oszuści, gdyby nie znaleźli ludzi *naiwnych*, pośpieszających Ignąć na ten szachrajski lep? Żadne moralności oszustów nie poprawią, utworzyli oni już bowiem dla siebie osobną moralność, której pilnują się wytrwale; ale radzibyśmy szczerze, żeby słowa nasze, poparte smutnym doświadczeniem, napędziły trochę rozumu do głowy takim, co w dzisiejszym czasie i w terażniejszych okolicznościach, dają się jeszcze na grę *w trzy karty* łapać.

W Kurjerze Warszawskim zamieszczoną jest wiadomość, że w Wilnie do kościoła św. Anny ma być zamówionym posąg dla królowej Barbary. Już dawniej zamieszczone były w tym kościele pomniki wyrobione z kosztownych marmurów, z wyobrażeniami Elżbiety i Barbary, dwóch żon Zygmunta Augusta, wykonane przez dwóch znakomitych rzeźbiarzy włoskich, Jana Maria i Jana de Senis; ale zaginęły one bez śladu podczas pożaru kościoła.

Chwalebny jest zamiar wystawienia nowego pomnika królowej Barbarze, której pamięć takim współczuciem otoczona jest u nas. Poetyczna ta postać natchnęła kilku znamienitszych autorów naszych, którzy w różnych formach nieszczęśliwe jej życie opowiedzieli, a ostatnio obraz Simmlera, śmierć Barbary, niezwykle wzbudził wrażenie; należy więc mniemać że i utalentowany rzeźbiarz znajdzie szerokie pole dla swojego talentu, w odtworzeniu i upoetyzowaniu tych rzeczywiście pięknych rysów. Żeby jednak żadnemu lepszemu artyście nie ubliżyć, a współzawodnictwo szlachetne wywołać, wypadaloby, oznaczyć wielkość posągu i materiał mający być użytym, ogłosić konkurs, z nadesłanych projektów wybrać najlepiej pomysłany i jego autorowi wykonanie posągu powierzyć. Składki posypią się liczniejsze, gdy publiczność będzie wiedziała czego się spodziewać może, a samym artystom pójdzie na pożytek usłyszenie niejednej trafnej uwagi, z którejby korzystać mogli przed wykonaniem dzieła.

Materyały współczesne do postaci królowej Barbary starczą na dokonanie nawet arcydzieła, a odlew bronzowy byłby, jak się zdaje, najstosowniejszym do ówczesnego stroju.

W każdym razie konkurs jest pożądanym, niejednokrotnie bowiem u nas doświadczenie przekonało, że pomniki bez należnego kierunku znawców wykonane, pomimo bardzo wielkich nakładów, nie odpowiadały wymaganiom ani sztuki, ani nawet samego zadania. Jeżeli więc pomnik królowej Barbary ma być wystawiony ze składek, należy dbać o to, ażeby pieniądze z trudnością zebrane nie poszły na marne; nieprzyjemnie to bowiem na razie, ale co gorsza, odstęrcza i na później.

Mamy miastu Sochaczewowi uczynić parę zapytań.

Dlaczego cmentarz katolicki tego miasta nie jest ogrodzony? Wszakże podobno Sochaczew znajduje się w Polsce, więc dbać powinien o wyznanie w kraju panujące. Tymczasem widzieliśmy tam kirkut żydowski bardzo starannie utrzymany; nawet cmentarz mużmański, przed kilku laty dla czasowej załozony potrzeby, otoczony kamiennym wałem i utrzymany w wielkim porządku; a nasz katolicki cmentarz stoi otwarty dla wszystkich nie już ludzi, ale zwierząt. Grunt okolic sochaczewskich płodny w kamienie, niewielki więc trud zebrać je i cmentarz murem otoczyć. Ale trzeba na to żeby żyjący dbali choć cokolwiek o ostatni spoczynek zmarłych rodziców krewnych i przyjaciół, co widać niema tam miejsca.

Dziwna także rzecz iż Sochaczew, spore już miasteczko, nie posiada wcale kościoła parafialnego, tylko nabożeństwa zwykle odbywają się tam pożyczonym sposobem w klasztorze ks. dominikanów. Był tam wprawdzie niegdyś kościół parafialny, ale spłonął przed kilkunastu laty, i nikt nie pomyślał o odbudowaniu go, pomimo że parafia liczna i wielu zamożnych nawet obywateli do niej należy. Wszakże z groszowych

składek odbudowywały się świątynie krakowskie po słynnym owym pożarze, a z pewnością trudniej tam było o pieniądze, aniżeli tutaj. Ale ta nikt nie wstydział się dać co mógł, zrobiono początek i złożyło się to jakoś.

I w tém znów za wzór przedstawić muszę gminę izraelską Sochaczewa. Bóżnica tameczna spaliła się także w przeszłym roku; ale składki posypały się natychmiast i wprędce stanęła nowa, tak iż zaledwie dał się dostrzedz ubytek dawniej. Dziwnym jednak zrządzeniem cegły do budowania nowej bóżnicy wzięte zostały z murów po spalonym parafialnym kościele pozostałych.

Wprawdzie gmina izraelska, nie chcąc krzywdzić parafian sochaczewskich, zobowiązała się zapłacić 5,000 złp., jako wynagrodzenie za cegły ze szczątków starych murów kościelnych brane, gdyby odbudowanie kościoła miało kiedykolwiek przyjść do skutku; biorąc atoli miarę z obecnej obojętności wspomnianych parafian, gmina izraelska nie tak prędko będzie potrzebowała ponieść ten wydatek.

Podajemy tu zapytanie jednej z czytelniczek naszych, przesłane nam w korespondencji.

Brzmi ono jak następuje:

„Tygodnik *Illustrowany* podał rozwiązanie bardzo interesujących pytań Gabryeli; do niego więc udaję się z prośbą o rozwiązanie lub przynajmniej o podanie do rozwiązania pytania, które zapewne wiele osób obchodzić może, a dla mnie teraz szczególnie jest ważnym.

„Oto gdy na głos sądu wszyscy zmartwychwstaniam do życia wiecznego, co wówczas będą znaczyły drugie żony? Czy pierwsze ustąpią im swego prawa? wątpię—bo mieć w kilka jednego męża, nie byłoby rzeczą bardzo przyjemną. Więc może drugie i dalsze będą uważane jako niewolnice swoich mężów (to trochę za bardzo po mahometanisku); albo może nawet, jako grzesznice, na lewicę odstawione zostaną.

„To może już lepiej umierać w panieństwie, bo przecież i chłopców tyłu umiera bezżennych.“

Zanim zdolniejsze pióro weźmie się do rozwiązania tego pytania (jeżeli wyda mu się ono dość ważnym) podamy tu parę uwag, które nam się doraźnie w tym względzie nastręczyły.

Więc najprzód los mężów obchodzi nas zupełnie tyle, ile los żon; a wielu się znajdzie takich, co będą się tam o jedną żonę spierać, jak owe małżonki o jednego męża.

Powtóre, nie wspominając już o dołku w ziemi św. Augustyna, powiemy tylko, że gdyby się komu udało odkryć cośkolwiek z owych głębokich tajemnic przyszłego życia, znalazłoby się zapewne wiele bardzo kwestyj ważniejszych, od rzuconej nam przez korespondentkę. Nastręcza się tu niemała sposobność do popisania się z dowcipkowaniem felietonowem; nie chcemy jednak żartować z rzeczy która w danym razie może być dla kogoś ważną. Bacząc więc wyłączenie na światowe pobudki i względy, odpowiadamy:

Jeżeli wdowiec nie ma dzieci, pożycie z nim może być łatwe i szczęśliwe, tak jak z każdym innym; ale zmienia się postać rzeczy, jeżeli pozostały dzieci z pierwszego małżeństwa. Można zastąpić zmarłą żonę tak, żeby mąż nie żałował przeszłości, ale zastąpić matkę dzieciom niepodobna prawie. Sama już nazwa *macochy* zawiera w sobie coś odrażającego. Trzeba być bardzo silną, bardzo pewną siebie, ażeby przyjąć na swe barki tak ciężki obowiązek. Macocha dwa razy nawet lepsza od matki, przez to samo że jest macochą, nie będzie już kochaną; a gdzież tu szukać macoch któreby były od matki lepszymi? Nam się zdaje że dzieci są właśnie tym najcisłsijszym węzłem przeszłych związków, który powtórnym na przeszkodzie staje. To cośmy powiedzieli o macochach, stosuje się i do ojcymów. W związkach tego rodzaju szczęśliwe pożycie, nie małżonków z sobą, ale dzieci z rodzicami, jest tylko wyjątkowem; a mniemamy że uczciwość i dobra wiara na wyjątki liczyć nie pozwala.

Co się zaś w przyszłym życiu dzieć będzie, to już do nas nie należy.

Chciałbym wam powiedzieć coś o Zielonych świątkach, o tej najpiękniejszej naszej wiosennej uroczystości, która zawsze z tak szczerą wesołością przepędzana tu bywa. I tym razem wszystkie religijne obrzędy obchodzono ze zwykłą pobożnością. Lud cisnął się do ołtarzy Pańskich; wnetrza domów starym zwyczajem ustroiły się zielonością, i święta przeszły, jak przechodzi zle i dobre. Bóg takie przemiany światła i cienia rozesał na drodze człowieka, muszą więc gdzieś się ze świętą jego wolą ci, którym więcej cienia niż światła się dostało. Widać rodzili się oni ku zachodowi słońca, a wschodu doczekać się nie mogą.

Obywatele wiejscy zjeżdżają się dość licznie do Warszawy na mający się już w przyszłym tygodniu rozpocząć jarmark na welne. Niemało osób tęczęsza

do tutejszych ogrodów wód mineralnych, ale i za granicę sporo także turystów udaje się w tym roku. Szczególniej, jak słyszeliśmy, w Karlsbadzie będzie natłok Polaków. Wody karlsbadzkie są skuteczne, ale mnie się zdaje że skuteczniej jeszcze te podróże za granicę ulżą kieszeniom pacjentów.

Chodzą słuchy o podanym niedawno projekcie w interesie ogółu, żeby na jednym z tutejszych gmachów publicznych były aż trzy tarcze zegarowe. Autor projektu ma szczególniej na celu dogodność publiczną, pragnie bowiem żeby kilku na raz przechodniów mogło zobaczyć która godzina, co, jak powiada projekt, przy jednej tylko tarczy zegarowej następcza niejake trudności. Niewiadomo nam czy to ważne ulepszenie zostanie przyjętym.

Z powodu nadesłanej nam przez jednego z korespondentów i wydrukowanej w ostatnim numerze Tygodnika listy nieukończonych literackich i artystycznych przedsięwzięć, otrzymaliśmy od p. A. Lerue, wydawcy *Album lubelskiego*, reklamacya, którą tu w treści zamieszczamy. Pan Lerue powiada że jedynie wiara w poparcie publiczności skłoniła go do ogłoszenia 2ej seryi swego Album. Tymczasem liczba przedpłacicieli spadła na 150, co naturalnie nie pokrywało nawet wydatków. Mimo to p. Lerue wydał 4 zeszyty części drugiej, które wszystkim księgarzom i osobom zajmującym się zbieraniem przedpłaty rozesłał. Co się zaś tyczy opłaty prenumeracyjnej, ta od nikogo za całe ośm zeszytów wymaganą nie była, (przynajmniej nie ze strony autora), tylko na jeden zeszyt naprzód, jak to objaśniają dostatecznie warunki przedpłaty na okładce wydrukowane. Jeżeli więc szanowny korespondent, żałujący się na niesłowność wydawców, złożył ją z góry, to upomnieć się winien u osoby co ją przyjęła: najprzód o 3 zeszyty drugiej seryi, których widać jeszcze nie odebrał, a potem o zwrot należności za następne 4 zeszyty, które istotnie nie wyszły. Pan Lerue kończy zapewnieniem, że tylko brak funduszu nie dozwala mu obecnie ciągnąć dalej wydawnictwa, którego ukończenie należy do najgorętszych jego życzeń.

Daliśmy chętnie głos szanownemu autorowi *Album lubelskiego* i przyznajemy nawet słusność jego usprawiedliwieniu; nie osłabia to jednak w zasadzie zarzutu naszego korespondenta. Publiczność nie sądzi podług wyjątków, ani jej wglądać w stosunki prywatne wydawców. Publiczność nie wchodzi i wchodzić nie potrzebuje w przyczyny, tylko patrzy na skutek; a że ten dosyć często u nas nie odpowiada zamierzeniu, nie dziwnego więc że się zraża, i sporzona na gorąco, na zimno potem dmucha. Zresztą w mowie będący ustęp ostatniej kroniki naszej nie miał wcale na celu osobiste czyjeś obwinienie, lecz napisany był tylko w obronie ogółu przeciw tym, co zarzucają mu ciągle obojętność dla piśmiennictwa. Obojętność ta w pewnych warstwach społeczności naszej istnieje, temu nikt nie zaprzeczy; ale i najgorętszych zwolenników literatury odstręczyć może obawa, że wydadzą próżno pieniądze na dzieło które potem pozostanie niekompletnym. Wina jest zobopólna; więc też powiedzieliśmy wyraźnie: lista przytoczona służyć ma za dowód, „że nie cała wina spada na czytających, że panowie autorzy i wydawcy powinni także uderzyć się w piersi.“

Po podaniu już do druku powyższych uwag, otrzymujemy drugą podobną reklamacya od p. J. M. Wiślickiego, wydawcy *Opisu królestwa polskiego*. Snadź ludzie lubiący zawsze domyślać się więcej jak jest rzeczywistość, szukali w artykule naszego korespondenta zarzutu nie tylko już niesłowności, ale co więcej, niesumienności. Dla przecięcia więc raz na zawsze wszelkich fałszywych tłumaczeń, oświadczamy niniejszem stanowczo, że nie posądzaaliśmy nigdy ani pana Lerue, ani pana Wiślickiego, ani kogokolwiekbądź z osób w owiej liście wymienionych, o niewydanie tego, za co z góry wzięli opłatę, o czém zresztą w artykule naszym nigdzie mowy nie było; powiedzieliśmy tylko że publiczność doczekać się nie może końca wielu wydawnictw, lubo czeka go z upragnieniem, i że z tego powodu narażona jest na nieprzyjemność posiadania dzieł niekompletnych. Dodaliśmy w końcu że nie bronimy p. p. wydawców przeciw zarzutowi naszego korespondenta, gdyż „oni sami powinni to uczynić.“ W tém oświadczeniu leży już najszersza gotowość nasza do przyjmowania wszelkich usprawiedliwień; lubo mniemamy że objaśnienie tak wyrażne uspokoić powinno drażliwość osób interesowanych. Gdyby jednakże która z tych osób uważała jeszcze za stosowne wystąpić z reklamacya, nie odmówimy jej miejsca w swoim piśmie, z tém tylko zastrzeżeniem, żeby podana była w formie osobnego artykułu, z podpisem reklamującego; nie możemy bo-

wiem w kronice tygodniowej podobnemi sprostowaniami zajmować miejsca innym, żywotniejszym i bardziej dla ogółu zajmującym wiadomościom.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

14 czerwca.

Protestacya pełnomocników francuzkich w Meksyku, p. p. Jurien de la Graviere i Saligny, przeciw ustępstwu terytoryalnemu jakiego rząd meksykański mógł uczynić na korzyść któregośkolwiek z mocarstw zagranicznych, nie wywarła pożądanego wpływu. Prezydent rzeszypospolitej Juarez odpowiedział, że protestacya Francyi bynajmniej nie przeszkadza jego rządowi wchodzić w układy z innymi mocarstwami, i jakby na poparcie swego twierdzenia, zawarł w dniu 28 kwietnia traktat z pełnomocnikiem Stanów zjednoczonych północnych, na mocy którego rząd amerykański pożyczka Meksykowi dwadzieścia i pięć milionów dolarów i bierze w zastaw kilka najpiękniejszych prowincyj. P. de Mercier poseł francuzki w Wasyngtonie, zawiadomił miał prezydenta Lincolna, że Francya uważa ten traktat za nieważny i niebyły. Tak więc powody starcia są gotowe, a w sferach urzędowych angielskich blizka wojna Francyi z Ameryką północną i idące w ślad za nią uznanie Stanów południowych, uważane jest za prawdopodobne.

Tymczasem armia francuzka, po małej utarczce pod Orizaba, w której generał meksykański Saragossa wyparowany został ze wszystkich pozycji, posuwa się dalej. Wice-admirał Jurien opuścił Orizaba w dniu 3 maja, zdążając ku Vera-Cruz, kędy meksykański generał Galvez połączyć się miał z armią francuzką. Jenerał Lorencez zajął Puebla, z kąd drogą otwartą idzie na Meksyk, i według wszelkiego prawdopodobieństwa z łatwością zajmie to miasto. Tak utrzymują dzienniki francuzkie. Tymczasem depesza z New-Yorku głosi porażkę Francuzów pod murami Meksyku. Miałyby w istocie zwyciężkie orły z pod Solferino i Magenta, pierzchnąć sromotnie przed parasolowem wojskiem Juareza? Wieść ta wydaje nam się tak nieprawdopodobną, iż ani na chwilę nie dajemy jej wiary, zwłaszcza gdy i samo źródło depeszy mocno jest podejrzanem. Bądź co bądź, sprawa meksykańska coraz większe budzi zajęcie. Francya szuka sprzymierzeńców, aby nie być zupełnie odosobnioną. Mówią nawet że starania jej uwięzione już zostały pomyslnym skutkiem i że z Madrytu udzielono marszałkowi Serrano rozkaz powstrzymania w Hawannie generała Gasseta z wojskiem i okrętami; ale wieść ta nader jest wątpliwą.

W Paryżu krążyła pogłoska o rozwiązaniu ciała prawodawczego i rozpisanie nowych wyborów.

Sprawa Brescia-Bergamo namiętne w parlamencie włoskim zrodziła spory. Stronnictwo krańcowe zwalić chciało ciężar winy na barki gabinetu, ale zręczność p. Ratazzi, dzielną wymową generała Bixio wsparta, stanowczy odniosła tryumf: parlament większością 189 głosów przeciw 33, udzielił gabinetowi wotum zaufania. Wszystko to jednak nie posuwa sprawy włoskiej ani na krok jeden naprzód. Sympatyczne wystrzały floty francuzkiej w zatoce Neapolu, podróż i mowy króla Wiktora, odwiedziny księcia Napoleona, ukończenie sporu Goyon-Lavalette, broszura pana Pietri, —wszystkie te szumne oznaki i wróżby blizkiego rozwiązania kwestyi rzymskiej, spełzły i rozwiwały się w obec nieublaganego *non possumus* Rzymu i dyplomatycznych trudności. Wprawdzie garnizon francuzki zredukowano do jednej brygady, wprawdzie Montebello zajął miejsce Goyona, ale sztandar sabaudzki nie powiewa jeszcze na kapitolu, a *status quo* w całej sile, na czas nieograniczony, utrzymywać się zdaje. Urzędowa *Monarchia nazionale* twierdzi wprawdzie, że Włosi mają prawo do bezpośrednich z Rzymem układów; lecz również urzędowy *Constitutionel* pośpiesza z odpowiedzią, że „dyplomacya tak ważnej kwestyi w jeden dzień załatwić nie jest w stanie“. Sprostowanie więc p. Ratazzi, jakoby podróż Wiktora Emanuela do Neapolu zadać miała cios śmiertelny władzy świeckiej, nie wydaje nam się zupełnie trafne, uważamy bowiem że kwestya rzymska licznymi najeżona jest trudnościami i że gabinet włoski nie tak łatwo z tych wszystkich trudności wypłynie.

Potworna postać pancernego niegdyś Merimac'a, nie daje zasypiać Anglikom. Na szczęście Armstrong leje im kloce żelazne, pod którymi prysną wszelkie

tarcze, pancerze i kręcące się kominy parowe. *Rule Britannia!* woła zachwycony John Bull, nie zapominając zresztą i o wystawie, tém cudnym dziecięciu poetyczno-fabrycznej swęj wyobraźni. Z tém wszystkiém wystawa międzynarodowa nietylko robi wrażenia na łaknących bawelny wyspiarzach, jak Ameryka, kędy pobratymcza krew Yankeesów obfitym leje się strumieniem.

Admirał północny Farragut, przesunawszy się wraz z flotą i niepancernym statkiem Mississippi obok fortów najeżonych działami, stanął naprzeciw eskadry południowej, wśród której groźny pancernik Manassas wróżyć się zdawał wszystkim niechybną zagładę. W przeciągu pół godziny bitwa rozpoczęła się na całej linii. Północni i południowi skryli się w kłębach i obłokach dymu; tylko huk dział, bomb i wylatujących w powietrze statków świadczył o krwawej, morderczej walce. Po dwóch godzinach zaciętego boju nastąpiła cisza—dym opadł, i ujrzano pływające po rzece szczątki Manassas'a i trzynastu kanonierek konfederatów. Flota południowa znikła.

Tymczasem armia lądowa północnych Amerykanów, pod dowództwem Mac-Clellana, zapędziła się aż pod Richmond i w odległości ośmiu mil od tego miasta przygotowuje się do ataku. Ostatnie wiadomości jakie odbieramy z placu boju, dochodzą do 29 maja. Generał północny Banks, działający wewnątrz Wirginii, pobity został przez konfederatów, którzy zmusili go cofnąć się do Williamsburga i przejść przez Potomak. To małe zwycięstwo południowców dozwoliło im wkroczyć na dolinę Shenandoah, przez co droga ku Marylandowi i Wasyngtonowi stoi im otworem. Z drugiej strony utrzymują, że generał Mac-Clellan zadał klęskę południowcom między Richmondem a Fredericksburgiem.

Według ostatnich telegrammów, pod wpływem Francyi i Austrii, Omer-basza zawarł zawieszenie broni z księciem Mikołajem. Tymczasem depesza z Raguzy donosi, że od dnia 2 b. m. krwawe potyczki między Turkami a Czarnogórcami wydarzają się codziennie, że nawet w dniu 5 b. m. Turcy, po pięciogodzinnej walce, zdobyli Ostróg, zajęty przez Czarnogórców. Toż samo twierdzą depesze z Dubrownika; zdaje się więc że przymierze Austrii z Francją i przypuszczalne ztąd zawieszenie broni nie zasługują bynajmniej na wiarę.

W tej chwili odebrane wiadomości z Raguzy donoszą, że w wąwozie Kitta nastąpiło krwawe starcie Turków z góralami. Jeden generał, wielu wyższych oficerów i 3,000 tureckiego żołnierza padło na polu bitwy. Z drugiej strony Derwisz basza przedarł się przez wąwóz i zaopatrzył Niksicz w żywność.

Otrzymałmy następującą odezwę z Kamienca podolskiego, którą drukujemy jako dopełnienie do wspomnienia o Stanisławie Strzyżyskim, dając przytém wizerunek jego, przez tegoż korespondenta łaskawie nam przesłany.

Panie redaktorze!

Szanowny K. Wł. Wójcicki, w Nrze 121 Tygodnika pańskiego, przypomniał nam Stanisława Starzyńskiego. Artykuł swój zakończył tém zapewnieniem, że od roku 1826 żadnej wieści nie miał ani o pracach tego pisarza, ani o jego życiu.

Otóż uwiadomić was mogę, że w dziesięć lat później Starzyński sprzedał majątko swą nad-zbruczańską, część miasteczka Zbrzezia i wsi Siekierzyniec, opisane romantycznie w liście do redaktora Tygodnika Petersburskiego, w Nrze 86, z r. 1844. Wkrótce zaś po sprzedaży, za paszportem emigracyjnym, wyjechał z Podola do Galicyi, i z poddanego rossyjskiego, stał się poddanym austriackim.

W owym czasie zakął Podola kamienieckiego był ściśle odcięty od zachodniego świata, i nie wiadano u nas co się dzieje za graniczną rzeczką Zbruczem.

Między wieściami i późno i głucho do nas przedzierającymi się, była i ta, że Starzyński, w podaszłym już wieku, doczekał się objęcia ojczystej fortuny, zostając w dożywotniem posiadaniu długowiecznej matki jego, wdowy po drugim mężu Kobylańskim. Lecz niedługo trzymając ten majątek, umarł, zapisawszy testamentem pozostałość po sobie na fundusz pobudowania kościoła (podobno we Lwowie) dla protestantów.

Blizsze o tém szczegóły, jak i o tém gdzie się podziały poezye Starzyńskiego, zbierane i przepisywane przez Juliana Sabińskiego, powziąć można ze Lwowa, jeśliby redakcyja uważała za potrzebne dopisać do końca żywot Starzyńskiego przy jego portrecie, którego wzór, od samego Starzyńskiego otrzymany, a bardzo podobny, załączam.

Proszę przyjąć i t. d.

J. S.

BENDER.

Chociaż Bender nie jest miastem polskim, jednak dajemy jego widok, bo nazwisko to przypomina bardzo ciekawe zdarzenia, mające związek z historią naszego kraju. Tu zbierały się hordy tatarskie ze stepów Budziaku, zamierzające pustoszyć ziemie Rzeczypospolitej. Tu Karol XII, po klęsce półtawskiej, przez cztery lata przebywał, spodziewając się z pomocą Turcyi utrzymać na tronie polskim swego przyjaciela Stanisława Leszczyńskiego; a gdy po wielu bezskutecznych usiłowaniach i intrygach ujrzał się nareszcie zmuszonym do ustąpienia z państw sultana, stoczył awanturniczą bitwę ze sto razy liczniejszym nieprzyjacielem. W Benderze także długo był trzymany pod strażą turecką Stanisław Leszczyński; wreszcie tu zmarł głośny hetman kozacki Mazepa, dzielający los Karola XII. Miejsce przyczepione do takich imion, musi posiadać wiele wspomnień; opowiemy przynajmniej ciekawsze o Karolu i Leszczyńskim.

Po wielkiej klęsce pod Półtawą dnia 8 lipca 1709 r. resztki wojska szwedzkiego z rannym, osłabionym, nieprzytomnym swoim królem, pod dowództwem generała Loewenhaupta przybyły nad Dniepr. Nieprzyjaciel ścigał je natarczywie, nie dając spoczynku, odcinając znużonych i prąc do rzeki. W pośpiechu zaledwie zdołano zachwycić kilka łódek. Na jednej przeprowiono Karola z Mazepą, który potrafił zabrać z sobą kilka skrzynek ze złotem; do innych wsiedli kanclerz królewski Müllern z hrabią Poniatowskim (później kasztelanem krakowskim, ojcem króla Stanisława Augusta) i resztą dworu. Kilkaset jazdy szwedzkiej, wiele Kozaków i Polaków, ufając w swe konie, postanowiło przebyć rzekę wplaw; ścisnąwszy się tedy do kupy, oparli się pędowi, i tylko ci potonęli, których woda oderwała od masy. Z piechoty, choć wielu próbowało, nikt rzeki nie przebył; większa część zabrana została do niewoli razem z Loewenhauptem.

Po tej nowej stracie Karol XII, z również jak on rannym generałem Hornem, w powozie dążył ku Oczakowu. Za nim resztki dworu i wojska, pieszo, konno, na wozach ciągnęły stepem bezludnym, bezdrożnym, оголоconym ze wszystkiego, nawet z wody. A było to w pierwszej połowie lipca: słońce piekło, step gorzał, konie padały, ludzie marli ze znużenia, ran, głodu i pragnienia. Skutki przegranej bitwy dawały się uczuć w całej swój okropności. Dopiero po pięciu dniach drogi rozbitki stanęli pod twierdzą turecką Oczakowem. Ale tu nowa trudność. Basza oczakowski nie śmiał zbiegów wpuszczać do miasta, bez wiedzy i zezwolenia seraskiera, a seraskier ten przebywał aż w Benderze w Bessarabii. Wprawdzie basza

Po drodze mnóstwo Polaków, Szwedów, Kozaków uciekających z pogromu, łączyło się z orszakiem królewskim. Zebrało się ich przy królu do 1800, gdy stanęli w Benderze. Cały ten tłum Turcy karmili i utrzymywali.

Król, nie chcąc mieszkać w mieście, założył obóz pod Benderem. Seraskier Jussuf-basza kazał dlań rozbić wspaniałe namioty i obok namioty dla jego generałów i dworu; nieco później zamiast namiotów po-



STANISŁAW STARZYŃSKI. (Rys. ze sztychłu Polkowskiego.)

stawiono dom dla króla i dworzan, żołnierze zaś porobili sobie szałas i obóz przybrał postać małego miasteczka, leżącego za Benderem od strony północnej, w górę Dniestru.

Karol cierpiał jeszcze na nogę, z której mu kość wyjęto, ale jak tylko rana się zamknęła, wrócił do dawnego czynnego życia: dosiadał konia, wstawał o wschodzie słońca, codzień męcząc pod sobą trzy wierzchowce i nieustannie musztrując żołnierzy. W wol-

szafował niemi ze zwykłą sobie nieopatrznością. Część tych summ rozchodziła się na miejscu, drugą obracano na intrygi serajowe. Sultan Achmet III, przyjąwszy gościnnie Karola XII, chciał aby przez Niemcy wracał do swych państw i w tym celu zaopatrzył go w pieniądze na podróż. Karol wziął pieniądze, ale zamiast wyjeżdżać, dopraszał się o sto tysięcy wojska, z którymi mógłby wkroczyć do Polski i zmódrz swoich przeciwników. Żądania Karola XII popierał w Stambule całkiem mu oddany, zdolny i nadzwyczaj zręczny hr. Poniatowski. Po długich usiłowaniach i zabiegach pozyskawszy dla Karola wielu stronników w dywanie, osobiwie zaś życzliwość matki sultanskiej, skłonił Portę do wypowiedzenia wojny Rossyi. Wyniesiony na wielkiego wezyra miły sultanowi Baltadzi-Mahomet, otrzymał rozkaz zebrać pod Benderem 200,000 Turków, do których jeszcze chan tatarski miał przyprowadzić 40,000 swojej hordy. Wszystkie prowincje tureckie zawarły przygotowaniami do wojny, i Karol XII ze swoim orszakiem w Benderze oczekiwał napewno pomysłnych dla siebie wieści.

Przez osobliwsze w dziejach powtórzenie wypadków, nadzieje Karola o mało się nie ziściły, albowiem Piotr I popełnił też same błędy, które niegdyś stały się przyczyną zguby jego przeciwnika pod Półtawą. Zbyt mało cenil wojsko tureckie, tém bardziej iż niemi dowodził dawniejszy drwal serajowy, i zamiast czekać zebrania się wszystkich swoich sił, z temi co miał pod ręką 38,000 wkroczył do Moldawii, której gospodarz Kantemir, podobnie jak niegdyś Karolowi Mazepa, obiecał znaczne posiłki i zapasy żywności. Nieopatrznie wszedłszy w głąb kraju, ujrzał najzupełniejszy zawód: Kantemir zaledwie z niewielu stronnikami stawil się w obozie carskim, ogół mieszkańców sprzyjał Turkom i gdy się zbliżyli, im tylko dostarczał żywności. Nim można było chwycić się jakiegos środka ocalenia, już dziesięćkroć silniejszy nieprzyjaciel szybko i przezornie przeciął wszystkie drogi. Pierwsze starcie z nim okupione było bardzo znaczną a bezużyteczną stratą; podobno zginęło przeszło 12,000 wojska rossyjskiego. Reszta razem ze swoim wodzem oskoczona dokoła, nad Prutem w czerwcu 1711 r., bez zapasów żywności, nawet niedopuszczana do rzeki ogniem kartaczowym jaki sypano z przeciwnego brzegu Prutu, wyginęłaby od głodu i pragnienia. Położenie było okropne. Wszyscy widzieli przed sobą tylko śmierć niechybną albo niewolę. Piotr, gwałtowny, porywczy, wpadłszy w tę samą łapkę co jego przeciwnik, był w zupełnej rozpacz. Wszystkie jego plany i widoki na przyszłość miały jutro rozwiązać się pod jataganami Turków. Bolesne musiały być jego dumy, gdy zawarłszy wejście swego namiotu, nie chciał aby ktokolwiek był ich świadkiem.



BENDER, miejsce zamieszkania Karola XII, a następnie uwięzienia Stanisława Leszczyńskiego. (Rysował z natury Fabijański.)

wysłał do niego natychmiast gońca z zapytaniem; ale nim nadeszły rozkazy, ścigający nieprzyjaciel w oczach Karola XII zabrał jeszcze 500 z jego orszaku; reszta z królem, gwałtem rzuciwszy się do twierdzy, ocalała. Seraskier benderski przysłał naprzeciw Karolowi agę z pysznym namiotem, żywnością, powozami, konwojem, słowem ze wszystkim co mogło być potrzebne do wygody i okazałości w podróży stepem do Benderu.

nych chwilach grywał w szachy, a nawet niekiedy lubił słuchać, gdy młody baron Fabrice czytał mu Rasyna i Kornela.

Rząd turecki gościnnie i hojnie podejmował dostojnego zbiegę, zaopatrując go w żywność i wszelkie potrzeby w Benderze, tudzież płacąc po 500 talarów dziennie. Oprócz tego król pożyczal pieniądze gdzie tylko mógł: we Francyi, u kupców angielskich i greckich w Konstantynopolu, nawet u swoich dworzan, i

Jednak umysł niewieści i na niepodobienstwo upatrzył skuteczny środek. Żona Piotra I Katarzyna doradziła próbować układów. Zebrawszy więc podarki dla wielkiego wezyra i jego przybocznych, wyjednała pokoj na warunkach nawet niezbyt uciążliwych dla Rossyi. Piotr I został ocalony, a sprawa Karola XII znów upadła.

Łatwo sobie wyobrazić wściekły gniew króla szwedzkiego, gdy się dowiedział o podpisaniu traktatu.

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 26.

Wiek XV. Dostojnicy dworscy w strojach świątecznych. (Rysunek wzięty ze społecznych obrazów w katedrze krakowskiej.)

Mieć niebezpiecznego nieprzyjaciela w rękę i puścić go samochęc, na własną zgubę, było szaleństwem. Pędem błyskawicy poleciał do obozu tureckiego, w nadziei że zdoła rzeczom inny dać obrót. Ale już było za późno: traktat był podpisany. Obrzucił wielkiego wezyra najdotkliwszymi obelgami i groźbami, a gdy ten dumnie, sucho odparł, że dlatego zawarł pokój, aby Rosyjan nie pozbawić ich pana, Karol w najwyższym oburzeniu ostrogą rozdarłszy jego suknię, siadł na koń i w rozpacz wrócił do Benderu.

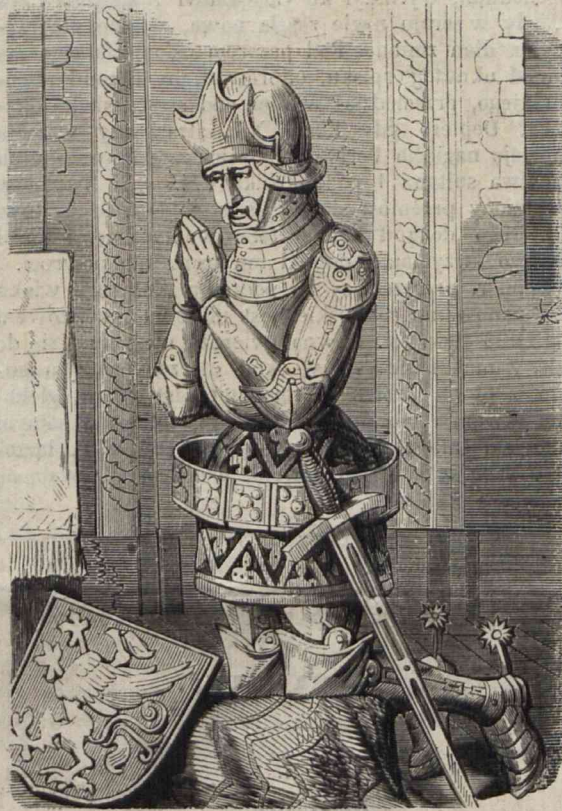
Tak straciwszy osobliwszą, przewyższającą wszelkie nadzieje sposobność do zemścić się nad przeciwnikiem, zdaje się iż Karol XII powinien był opuścić Turcyę, spieszyć do swoich państw i z nich czerpać nowe siły. Tak myśleli i Turcy; dlatego wyjednali dlań u cesarza niemieckiego pozwolenie swobodnego przejazdu do Szwecyi i zaopatryli go znowu w pieniądze, dając więcej niż żądał. Ale uparty król nie mógł sobie wybić z głowy, że hańbą byłoby dla niego wrócić niepomszczonym; postanowił zatem zostać i jeszcze raz uzbroić Portę przeciwko Rosyji. Gdy mu wezbranie Dniestru zalało obóz pod Benderem, przeniósł go dalej w górę rzeki ku wsi Warnicy, gdzie zbudował dom murowany dla siebie, obok drugi dla swego podskarbiego, a trzeci na kancelaryę. Ten nowy obóz obwarował, jakby przewidując że dłuższy upór sprowadzi nań gniew padyszacha.

W istocie Turcy, nie pojmując powodu dłuższego pobytu u siebie króla szwedzkiego i nie mając chęci prowadzić nowej wojny w jego interesie, nalegali nań o wyjazd, zapewniając mu wszelkie ułatwienia podróży. Gdy jednak mimo to nie wyruszał, lecz wciąż intrygował i domagał się 100,000 wojska, sam sultan listem z dnia 19 kwietnia 1712 r. oznajmił mu, iż może bezpiecznie cofnąć się do Polski. Gdy i to nie pomogło, po wielokrotnych łagodniejszych przełożeniach, seraskier benderski otrzymał nareszcie

rozkaz sultański wyrznięcia Szwedów, jeśli się dłużej upierali zostać, nie oszczędzając nawet Karola. Rozkaz ten seraskier oznajmił osobiście Karolowi, a gdy król ofuknął go z gniewem i oświadczył, iż nie myśli ruszać się z miejsca, basza galopem odjechał i tylko przelatując zawołał do jednego z przybocznych Karola XII: — Król słuchać nie chce, dziwne rzeczy zobaczycie.

Natychmiast odjęto królowi żywność i straż janczarską; oznajmiono Polakom i Kozakom, aby jeśli chcą mieć żywność, usunęli się od obozu warnickiego i udali się do Benderu. Wszyscy usłuchali i odstąpili, zostawiając Karola z jego dworem i 300 Szwedami, przeciwko 20,000 Tatarów i 6000 Turków.

Karol XII kazał sypać okopy swoim 300 Szwedom, pracował sam ze swoim kanclerzem, sekretarzami i całym dworem. Jedni barykadowali okna, drudzy zapierali drzwi belkami. Gdy się tak przysposobił do



Nr. 28.

Wiek XV. Rycerz w pełnej zbroi. (Rysunek wzięty z nadgrobnego obrazu w Ruszczy pod Krakowem.)



Nr. 27.

Wiek XV. Dysputa uczonych. (Rysunek wzięty ze społecznych obrazów w katedrze krakowskiej.)

obrony, obszedł okopy i siadł spokojnie grać w szachy, jakby głowę miał swobodną. Posel holsztyński i angielski jeszcze próbowali układów z władzami tureckimi; ale te, mając wyraźny rozkaz sultański, oświadczyły że muszą go spełnić, choćby krew miała popłynąć; zezwoliły tylko na zwłokę. Więc jeszcze raz trafiono do sultana; lecz ten powtórzył rozkaz najdotkliwiej. Wtedy posłowie, generałowie i kapelani szwedzcy błagali Karola, aby niepotrzebnie nie narażał swęj osoby na śmierć nieochybną—król był nieporuszony. Kiedy wreszcie wojsko tureckie stanęło przy okopach gotowe do szturm, jeszcze 60 najstarszych janczarów, zdumionych odwagą Karola, prosilo seraskiera, aby im pozwolił iść do niego, w nadziei że potrafią pokonać jego upór. Ale i to nie pomogło: zapamiętały Karol nie chciał ich nawet widzieć, tylko oświadczył że im brody każe poobcinać, jeżeli nie ustąpią.

Na taką obelgę obrażeni starcy odeszli, wołając: „O żelazna głowa! chce ginąć, niechże ginie!“ Wrócili do Benderu i gdy zdali sprawę ze swego poselstwa, wydano rozkaz do szturm.

Zaczęto z dział dawać ognia. Turcy i Tatarzy wala się na okopy; po chwili janczarowie z jednej, Tatarzy z drugiej strony opanowali małe szanice obozu. Ledwie 20 Szwedów do było miecza, innych otoczono i bez oporu wzięto w niewolę. Król z trzema generałami stał na koniu między swoim domem a obozem; widząc jak żołnierze dali się wziąć wszyscy, rzekł z krwią zimną do otaczających:

— Chodźmy bronić domu, będziemy walczyć pro aris et focis (za ołtarze i ogniska) dodał z uśmiechem.

To mówiąc, galopem puścił się ku domowi, gdzie około 40 czeladzi stało na straży. Zeskoczył z konia z pistoletem i szablą w rękę, reszta dworu za nim. Ale już Turcy i Tatarzy otoczyli dom i oknami tłoczyli się do pokojów. Został tylko jeden blisko drzwi wchodowych. Karol z towarzyszami postanowił się



Nr. 29.

Wiek XV. Błazen nadworny, bawiący panów i rycerzy. (Rysunek wzięty z ozdób znajdujących się na tle cudownego obrazu Matki Boskiej w Częstochowie.)

(Dalszy ciąg nastąpi).

do niego przebić. Więc obala, zabija wszystko co mu drogę zagradza. Ranny janczar przyłożył karabin do jego twarzy, i gdyby nie przypadkowy ruch ręki trąconej w tłumie i zgielku, Karolby poległ. Kula osliznęła się po nosie, urwała mu kawałek ucha i strzaskala rękę generałowi Hord. Król przebił janczara i ze dworem wpadł wreszcie do jednego już wolnego pokoju. Zatarasowano drzwi i umocniono się jak można było najlepiej. Turcy tymczasem łupili pokoje.

— Chodźmy wyprzeć tę zgrają barbarzyńców, zawołał Karol, i otwórzmy drzwi, wpadł do przyległego pokoju. Turcy, obciążeni łupem, na widok króla, którego przywykli szanować, zachwili się, zaczęli wyskakiwać oknami, i Karol, korzystając z wrażenia jakie uczynił, począł ich gnać po pokojach, rąbiąc i zabijając, tak iż w kwadrans dom oczyścił. Szwedzi, opanowawszy znowu dom, pozabijali okna i mając podostatkiem broni, prochu i kul, żwawo strzelali do napastników, których wkrótce za dwustu położyli trupem.

Mimo tej straty wszakże basza koniecznie postanowił dostać Karola; ośm dukatów obiecał każdemu, kto się dotknie jego szaty, i kazał dom zapalić. Wkrótce buchnął dym i płomień szybko pożerał dach opadający kawałkami. Karol niezrażony usiłował bronić się i gasić pożar. W pośpiechu, znalazłszy baryłkę z jakimś płynem i nie wiedząc że to była wódka, z pomocą dwóch żołnierzy wrzucił ją w miejsce gdzie był największy ogień. Pożar wzmógł się—pokoje gorzały, wielka sala w której byli napelniła się dymem, dach opadał, ściany się waliły, iskry osypywały szalonych bohaterów.

Wtedy jeden ze Szwedów, ustając ze znużenia, zawołał: trzeba się poddać!

— Dziwny człowiek, odpowiedział Karol, woli pojsć w niewolę, niż uczciwie się spalić!

Drugi, Rozen, rzekł: kancelarya o pięćdziesiąt kroków, dach na niej z dachówki, może ogień wytrzymać, trzeba się tam dostać i bronić!

— Oto mi Szwed! krzyknął Karol, uściśnął go, natychmiast mianował pułkownikiem i z szablą w ręku ze swymi towarzyszami przebił się do kancelaryi.

Turcy oniemieli z podziwienia na ten nowy wyskok zuchwałej waleczności, a Karol nieulekły szablą wśród tłumu torował sobie drogę. Jednak, według niezmiennego swego zwyczaju, będąc w długich butach z ostrogami, zaczęł się o trupa i upadł. W gniewie oka chmara Turków go obsiadła; Karol ostatniem wysileniem wyrzucił w górę swoją szablę, aby jej nie oddać wrogom, i oddtąd łagodny jak dziecko, patrzył z uśmiechem na janczarów, jak wśród okrzyków podziwienia i przekleństw, na rękę niesli go do baszy. Dwór królewski także wzięty i odarty został ze wszystkiego; dopiero później posłowie angielski i holenderski okryli go nieco, wykupiwszy zabrane suknie. Ta osobliwsza walka zaszła 12 lutego 1713 roku.

Seraskier benderski, dostawszy wreszcie Karola, przyjął go z szanowaniem i współczuciem, dziękując Bogu, że ocalił jego życie.

— Gdyby się moi żołnierze bronili jak należy, powiedział król, nie dobylibyście mnie i w dziesięć dni.

— Jest to źle użyta odwaga, okupiona życiem wielu niewinnych, odrzekł smutnie seraskier. Poczem stowornie do otrzymanych rozkazów pod mocną strażą odprowadził swego jeńca do zamku Demirtasz blisko Adryanopola, zkąd wprędce odesłano go do twierdzy Demotyki, i tam przebywał aż do chwili wyjazdu do Szwecji.

Gdy się to dzieje z Karolem XII, jego przyjaciel Stanisław Leszczyński, szczególnym zbiegiem okoliczności, w czasie walki warnickiej znajdował się niedaleko i wkrótce miał być osadzony w Benderze. Po klęsce półtawskiej i on nie osiedził się w Polsce. W miesiąc po nieszczęsnej dla Szwedów bitwie August II ogłosił manifest, w którym odwołał zrzeczenia uczynione w traktacie altransztadzkim i pogodził się w Gdańsku z Piotrem I, wsparty jego wojskami, powrócił na tron polski. Leszczyński, chociaż miał wielu szczerych stronników, jednak nie mając nadziei oprzeć się tak przeważnym siłom, wstąpił do Pomeranii szwedzkiej. Gdy mimo upór Karola położenie jego się nie polepszało, Leszczyński, aby zapobiedz dalszemu niszczeniu ojczyzny rozdartej na dwa stronnictwa, chciał porozumieć się z Augustem II, gdy ten niejednokrotnie już podawał mu rękę do zgody. Ale Karol XII był najmocniej przeciwny wszelkim układom.

Tak upłynęło prawie lat cztery; August ustalił się w Polsce i naturalnie przesładował stronnictwo Leszczyńskiego. Nie mógł tego dłużej znieść rozsądny i szlachetny Stanisław; odesławszy zatem swoją rodzinę do Szwecji, sam pod przybranym nazwiskiem szwedzkiego majora Haran, z baronem Sparre puścił

się w drogę ku Benderowi, dla widzenia się z Karolem XII.

Chociaż wieść o jego podróży tajemnej rozbiegła się wszędzie, jednak szczęśliwie przebył państwa podległe domowi rakuzkiemu. Gdy stanął na ziemi mołdawskiej, poddanej sułtanowi, sądził się zupełnie bezpiecznym, wcale nie wiedząc że właśnie przed kilku dniami zaszła katastrofa warnicka i że królewski jego przyjaciel był w niewoli. Wkrótce atoli przekonał się o tem z przykrością, ujrawszy się aresztowanym. Przeprowadzony do Jass i stawiony przed hospodarem, który go poznał z rozesłanego rysopisu i sam badał, spokojnie odpowiedział zapytany kto był:

— Major sum (jestem starszym).

— Imo maximus (nawet najstarszym), odpowiedział gospodar, i przyjmując go ze względami należnymi królowi, odprowadził do zamku benderskiego.

Było to 4 marca 1713 roku.

Skutkiem nowych usiłowań Karola XII, sułtan powtórnie dał się przechylić na stronę zbiegłych królów. 80,000 wojska miało się zebrać u Chocimia, aby pod osobistym dowództwem Leszczyńskiego wkroczyć do Polski i wprowadzić go na tron; gdy tymczasem drugie, jeszcze silniejsze, z Karolem XII miało wtargnąć do Rosji. Już Stanisław, otoczony blaskiem wschodnim, wyruszył ku Chocimowi 7 sierpnia 1713 r., gdy w seraju nagle zaszła nowa, całkiem nieprzychylna dlań zmiana. Pod pozorem osłonecia jego życia od uknutego spisku, odprowadzony do zamku benderskiego, przesiedział w nim pod strażą siedm miesięcy. Dopiero gdy Karol XII, straciwszy wszelką nadzieję nagięcia Porty do swoich widoków, opuścił państwa sułtana 4 października 1714 r., i Stanisław uwolniony przeniósł się do księstwa Dwóch-mostów, z którego dochód 70,000 talarów przeznaczył Karol na jego utrzymanie, dopóki mu tronu nie powróci.

Bender, przeszedłszy na początku biejącego wieku pod panowanie rossyjskie, jest miastem powiatowem z 15,000 ludności. Dawna twierdza utrzymuje się do dziś. Zamek benderski w okolo otoczony grubym murem, z ośmiu dobrze uzbrojonych bastyonami, głębokim rowem i mocną palisadą. Oddzielnie nad samym brzegiem Dniestru wznoszą się dwie wieże, połączone z sobą warownym murem; wieże te nazywają się dolnym zamkiem.

POWIEŚCI GRABARZA,

przez

ADAMA PŁUGA.

I.

Dwaj lirnicy.

Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
Przecie tonów nie żniże;
Nie żałuję mej głowy, wszak ja lirnik wioskowy
Śtęram grają na lirze.
Wł. Syrokomla.

— Jakto, mój serdeczny dziaduniu? byćże to może abyście znali wszystkich tych nieboszczyków, co spoczęli na tym cmentarzu? Toż to ich tutaj taka gromada, że ani zliczyć! Nie od razu oni tu przyszli, jak nie od razu i wioska wasza tak się rozciągnęła szeroko, a pewnie jeszcze na świecie was nie było, jak do cmentarniej tej slobody(*) pierwszy osadczy przybył.

Uśmiechnął się rzewnie staruszek, ła bujna potoczyła mu się po twarzy, a przepłukane nią oczy żywym blaskiem zabłysły...

— O jakżeście to pięknie slobodą nasz mogilnik nazwali!... Anioł wam chyba podpowiedział to z nieba!... Tak, miły panie! mogilnik to prawdziwa sloboda! tu wszyscy wolne Kozaki i to na wieki wieczne, choć w znaku, który przy wyznaczeniu ziemi tej na slobodę przed laty tu zatknęto, były tylko trzy kołki, trzy gwoździe w ranach Chrystusa... Tak, tak! sloboda to, sloboda... i to jaka jeszcze! Nietylko na pańszczyznę zład cię nie pogonią, nietylko za poduszne świtki z ciebie nie zedra, nietylko cię w rekruty nie oddadzą; ale już nawet i dla samego siebie ni orać, ni siać, ni zbierać nie potrzebujesz. Odpoczywaj sobie spokojnie, aż póki cię święte anioły wielkim głosem trąby nie zawołają na obrachunek do

(*) Sloboda, to jest swoboda, to samo co wola, znaczy osadę wolną od ciężarów poddańczych. W dawne czasy na Ukrainie był zwyczaj, że na gruntach przeznaczonych do osiedlenia stawiano słupy, w które tyle wbijano kołków, ile lat swobody od dworskich powinności nowym osadnikom ofiarowywano. Osadczym ten się nazywał, kto pierwszy na swobodzie osiadłszy, brał niejako na siebie obowiązek zwerbowania innych i założenia wioski. Na Podolu i Ukrainie dotychczas wiele wsi nosi nazwisko slobód, wyraźnie świadcząc o pochodzeniu swoim.

dzieńca ziemi i niebios, gdzie niebieski karbowy, Piotr święty, złote karby rozłoży i wiernie ci z nich wyliczy roboczną twego życia całego...

I zamilkł, i w głęboką zadumę wpadłszy starowina, długo łzawem spojrzeniem to po mogiłach się błękał, to na niebo spojierał; westchnął nareszcie i znowu gawędzić zaczął:

—Prawdę mówicie, panie, że spora tu tych slobodziańców gromada i że nie od razu oni tu przyszli... tak... tak... Ale znam ja ich wszystkich, znam i osadczego; bo za mojej pamięci sloboda ta powstała. Dawniej nasz cmentarz był w samej wiosce, przy cerkwi. Tam i dziadowie i rodzice moi, (święci panie ich duszyczkom) spoczęli. Dotychczas na ich grobach, rozchodnikami obrosłych, stoją krzyże kamienne, mchem już siwym pokryte i w ziemię na w pół zapadłe... Dziadkowy to taki aż po same ramiona zagrzezał i na nich się zatrzymał... I na innych są znaki i krzyże z kamienia kute, i płyty wielkie ciosowe, nawet z literami... będzie tego sztuk ze dwanaście; ale Bóg ich tam zgadnie kto pod nimi grzeszne kości położył. Jak niema żywej duszy coby wspomniała, to i napis na nie się nie zdał; bo choćby tam kto i potrafił wyczytać, to jak z tym, tak i bez tego, tyle tylko ze nietylko już deptać po mogile nie będzie, a po innych to ani śladu, chyba tylko to dolinka, to garbek, niby bruzda i skiba na starym nieużytku, gdzie niegdys śmierć swoim plugiem orała... orała długo, bo już i moja stara pamięć nie sięgnie tego czasu, kiedy na tę niwę pierwszy raz wyszła. Ale na kilka co lat przed pierwszą cholera postanowiono, żeby już pod cerkwią więcej nie grzebać zmarłych, a po za wioską mogilnik wyznaczono i poświęcono pięknie. Cóż z tego, kiedy jak przyszło co do czego, tak ani rusz! Kto nie umiera, na miły Bóg prosi rodzinę: nie prowadźcie mnie na nowy cmentarz, a pochowajcie przy cerkwi, bo spokoju w grobie nie znajdzie; ucieknę i upiorem wrócę do chaty. I co tu począć? wola umarłych święta, trudnoż jej nie wypełnić; a zresztą kto go tam zgadnie? może doprawdy który słowa dotrzyma, a nie mogąc wyleżeć w nienawistnej sobie mogile, porzuci ją i po wsi tulać się pocznie. Biada i tylko! Co nieboszczyk, to nowe termedye! cała semja, cała gromada bywało idzie do popa, i nuż się kłaniać, nuż błagać, ręce nogi całować, żeby żywym krzywdy nie robił, a umarłym duszy nie dręczył i po dawnemu popod cerkwią ich grzebał. Rad nie rad dobrodziej musiał zawsze prośby wysłuchać i przez lat kilka jednego tylko dziada zaprowadził na nowy cmentarz, bo za tym nieborakiem nie było komu się wstawić, (pies tylko jego był żałośnie biedny, idąc za trumną, ale któż zgadnie co to zawođenje jego znaczyło?) a sam umierając, nie mógł ludziom woli swojej przekazać. Może gdyby i mógł, toby nie przekazywał, a jeśliby przekazał, to kto wie czy nie na nowy cmentarz by się poprosił... Inni, co się z pradziadów porodili w tej wiosce, co popod cerkwią pochowali ojca z matką, brata z siostrą, męża z żoną, dziateczki lub sąsiadów pocziwych, to nie dziwota że i sami pośród swoich kości złożyłby chcieli; a porzucając siemję kochaną i druhów swych serdecznych, nie dziwota że z myślą o nich popod cerkwią mieć mogilę woleli, żeby tam pod ziemią głęboko, co niedziela słyszeć święte dzwonów dzwonienie, i służbę Bożą, i stapanie gromadki na modlitwę śpieszącej, i w głuchem tęmieniu kroków rozpoznawać chód swoich, i czuć ich do mogiły ze czcią zbliżających się, i rzewny głos ich czasem pochwyć... Ale... stary sierota... wędrowiec z bożego świata, ptak przelotny, nieznający stada swojego... czy tu, czy owdzie siwą głowę położył, wszystko to jemu jedno! A gdy powiadam że możeby i wolał na nowym cmentarzu spocząć, to dlatego, mój miły panie, że starowina zdała gdzieś do nas przywędrowawszy i parę razy tylko z końca w koniec z psem swym i z lirą wioskę przeszedłszy, ruszył potem ot tutaj na te stare kurhany, popod którymi nowy cmentarz obrano. Powiadali mi niegdys nasi starowie, że te kurhany, to także groby, że to jakiś bardzo dawny mogilnik... Mój mocny Boże! nie żałowali ani rąk, ani ziemi ci ludzie, co takie straszne kopce posypali. Każdy jak stęra na dworskim łanie w dobry urodzaj. Chybaż to wielkoludy jeszcze wielkoludów tutaj grzebali... Owóż na jednym z tych kurhanów, ot na tym gdzie ten dąb rozłożysty i figura przy nim, obrał sobie dziadus kwatere; budkę nawet słomianą popod dębem postawił, żeby z psem swoim miał gdzie od dęszczy się schować i żeby mu jego lira nie zamokła, i od wiosny najrańszej, aż do późnej jesieni przesiedział tu nad drogą, modlitwą a pieśnią Pana Boga chwalać i ludźmi miłosierdziem się żywiąc. W niedzielę tylko, albo we święto do naszej wsi przechodził, żeby służby Bożej w cerkwi posłuchać, święte pieśni lub stare dumy na cmentarzu przed gromadą zaśpiewać i znow na swój kurhan conaj-

śpieszniej powracać, powiadając ludziom chcącym go do chaty zaprosić, że mu tęskno do starych mogił, że nań z tamąd duchy jakieś wołają. A i pies jego snadź do tych grobów jakoś się dziwnie przywiązał! Popod cerkwią bywało siedzi przy nim głowę zwieszony, jakiś taki chmurny a smutny, że doprawdy nieraz sam mu zaglądałem w oczy ciekawie, czy nie płacze jak człowiek? A jakże tylko staruch umie za kosztur i na plecy zarzuciwszy swą lirę, na kurhanę wędruje, to wierny towarzysz jego, jakby nie ten sam, — ledwie ze skóry nie wyskoczy z radości, wiję się, kręci, koźły przewraca, i to nogi mu liże, to wspinia się na piersi, to za poly ciągnie, jakby do przód chodu chciał naglić. Dziwne stworzenie!

Pół kopy lat już odtąd minęło, a jeszcze mi ten starzec w oczach jak żywy stoi. Niewielkiego wzrostu, chudy, zawiedły, siwy jak ten gołąbek, ale dość ruchawy i krzepki; z okiem jasnym jak niebo, a wesoło patrzącym, z twarzą pomarszczoną i bładą, ale dziwnie białą i jakby jakimś blaskiem oblaną, — zwłaszcza gdy bywało kapeluszy z głowy zdejmie i wysokie, łyse czoło odsłoni, z którego wyraźnie jakby promienie rozchodzą się w kolo; z brodą siwiutczką, ale gęstą i kędzierzawą i z wąsem potoczystym a sutym, spadającym na usta, lecz nie kryjącym poczciwego uśmiechu, który wśród tej srebrnej siwizny migają niby światłość słoneczna wśród wnelniastych obłoczków. A przyodziany zawsze ucziwie: świtka na nim dostatnia, czysta i cała, pas czerwony szeroki, buty juchtowe, niełatane i niedziurawe, torba porządna i *hamanicyk* skórzany z nożera składanym, z igłą i niemi i ze strunami zapaśnemi do liry.

Widywałem go często, ledwie nie codziennie. Cała gromada nasza lgnęła sercem do niego, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, a ja może więcej od innych. Kurhan stoi nad samą drogą; to bywało czy na pole wychodzimy, czy do domu wracamy, każdy bodaj na chwilkę przy dziadu się zatrzyma, żeby czy pieśni, czy powieści o starych dobrych czasach posłuchać. A śpiewał i *bajdurzył* z wielką ochotą, i choć mu czasem nikt i kromki chleba za to nie rzucił, ani się gniewał, ani zważał na to poczciwiec; bo też Bogiem a prawdą głodu nigdy nie zaznał, a że wódki i w usta nie brał, a pieniędzy nie miał dla kogo zbierać, to choć i nie uprzykrzał się ludziom o jałmużnę i nie patrzył w ręce każdemu, miał zawsze dosyć. Powiadają nawet że nieraz go widziano, jak innym dziadom i grosze i chleb swój z torby wytrząsał.

Hej, hej! mój Boże! niema już dziś takich lirników! Żadnego dotąd nie widział, coby mu poczciwością albo pieśnią dorównał. O! pieśni te, pieśni! z kąd to on ich się nauczył? Chyba gdzieś świętych Pańskich spotkał, chodząc po świecie, i od nich je przejął; albo może zasłyszał jak anioły w niebie je grały; albo w nocy majowe na mogiłach się modląc, podслушал w chwilę szczęśliwą, jak je stare dęby śpiewały.

Oczarował on mię temi pieśniami. Bywało jak mi się taki dzień trafi, że nie mam pilnej roboty, ni w polu, ani w domu, to darmo jużby mnie kto w chacie chciał trzymać. Ot tak mnie coś i ciągnie na te kurhany. To i wezmę mego chłopca za rękę i dalejże do dziada! Pozdrowimy go w Imię Boże; uśmiechnie się staruch wesoło; pies jego do mnie przyskoczy, ręce poliże, ja dam mu chleba kawalek i zasiądę przy starcu, a chłopiec mój tuż przy mnie. Dziaduś lirę podstroi i przegrywając śpiewa mi swe dumy cudowne: o czasach dawnych i o ludziach sławnych; jedną skończy, drugą zaczyna, a coraz to piękniejszą. A jak się zmęczy śpiewaniem, to opowiada różne różności, a takie cuda prawi, miły mój panie, jakby z jakiejś świętej książki czytał. A ja słucham, słucham, bywało i do serca i do rozumu to biorę, a w głowie mi jakoś tak się rozwidnia, jakby mi w niej ktoś gromnicę zapaloną postawił...

I do późnej nocy bywało przesiedzę przy tym starcu, a jak wracam do domu, to mnie mój chłopiec, Ostapek mały, raz wraz zagaduje o to lub owo, czego nie zrozumiał w pieśni albo gawędzie; ja mu opowiadam wszystko jak trzeba, a idzie mi to tak łatwo, jakbym się już takim mądrym na świat narodził, i sam się dziwić i wydziwić nie mogę, czemu te rzeczy, tak mi dzisiaj jasne i rozumiałe, niedawno jeszcze ani mi się przysniły? Czemu np. niedawniusięńko tak mi ciężko było o tém pomyśleć, że ja nieszczęśliwy ani kęsiolka własnej ziemi nie mam, że nawet moja chata niemoja, że większą polewę pracy swęj krwawej oddawać muszę panu, który ma tyle i ziemi i wszelkiego dobra? Czemu mi się zdawało, że całej mojej niedoli, wszystkich ucisków jakich tylko doznaję, pan był przyczyną? Czemu na tego pana spoglądałem zawsze z złością i nienawiścią skrytą? Czemu, gdy mi nawet dobrze chciał zrobić, to i w dobrem bywało o zdradliwe jakieś za-

mysły posądzałem go zawsze? Czemu nareszcie rado- wałem się grzeszną radością każdemu jego nieszczęściu, i zawżdy ciągnąłem za tym, kto go dociskał; a własnego wroga nigdy poznać nie mogłem, i anim się domyślał, że krzywda pańska była i moją krzyw- dą?... A jak mnie, tak i całej gromadzie, pieśni i powieści tego lirnika rozwidniły świat Boży, otwo- rzyły oczy na prawdę i dały poznać co białe, a co czarne, co proste, a co krzywe.

A jak już przyjdę do chaty i legnę aby zasnąć, to nieraz po całych nocach cudne pieśni lirnicze brzmią mi w sercu i w głowie, niby pszczoły w ulu; a głowa moja i piersi, jak plastrami miodu słodkiego, napełniają się czystą myślą i dobrą wolą... A nieraz to i sen mi przyni się taki roskoszny, jak gdyby mnie żywego ktoś do raju wprowadził, jak gdyby już się to stało, o czém starzec śpiewał w dumach swoich proroczych... Bo, miły panie, lirnik ten dziwny nie- zawsze śpiewał o tém tylko co było; nieraz i przy- szłość w pieśniach swych przepowiadał, a te najcu- downiejsze były...

A nietylko sama prostota polubiła tak pieśni i gawędy tego starucha. Nieraz i dziedzic i dziedziczka, a najbardziej panienki i panice, szli na kurhan do niego i po całych godzinach przysłuchiwali się jego śpiewaniu. Panice to nawet pospisywali sobie wszystkie jego dumy i ponauczali się ich na pamięć i czę- sto śpiewywali je chórem z siostrami swemi i z ca- łą dworską czeladzią. Gdyby chciał starowina, toby nie mało grosza od nich był dostał. Ciągnęli go do dworu, prosili, a błagali, żeby żył przy nich w do- statkach a wygodzie i we czci wszelkiej. Ale im po- dziękował, mówiąc że mu na kurhanie najlepiej. Nie chodził nawet nigdy do dworu; raz jeden tylko dał się uprosić, na imieniny dziedzica, kiedy z sąsiedz- twa wiele się gości zjechało, i do samego rana śpie- wał im pieśni swoje. Szlachta nie mogła nim dość się nacieszyć, i cały stół przed nim zasypali srebrem i złotem; ale dziad nie tknął z tego ni grosza. „Zspycie tu jeszcze więcej, powiedział, a zróbcie z tém tak, żeby więcej wesołych pieśni było na Bożej ziemi.“

Owóż, jak wam mówiłem, od wiosny aż do jesie- ni lirnik ten za wsią naszą na mogile tej tam prze- siedział.

Przy końcu jakoś lata, a było to tuż przed samą pierwszą cholera, po wojnie z Turkiem, przywędro- wał do nas drugi *dziadyga*, także lirnik zebrzący. Już my o nim trocha pierwój słyszeli, z ludźmi z wio- sek sąsiednich na jarmarku się spotykając w mia- steczku. My bywało zacznem mówić o swoim, o pie- śniach jego uroczych, a oni powiadają o swoim...

O Boże święty! aż nam włosy wstają ze strachu i że- gnamy się jak od diabła, jak nam który powtórzy co dziad ten wyśpiewuje.

I trzebaż było żeby go lichy na naszą wieś nasta- łol! Ot, nieszczęście i koniec. Nie wyszczuże go psami. Jakby nic nie było, przychodzi w Imię Boże, pro- sząc wspomnienia u ludzi. Biędny, kaléka, to i cóż mu poradzisz? ani drzwi przed nim nie godzi się za- mykać, ani mu kawalka chleba nie odmówić.

Przyszedł... Raz pierwój, dobrze pamiętam, ujrze- liśmy go na *spasa*. U nas na *spasa*, *prażnik*; przy- jeżdżają więc popy z okolicznych parafij, pomagać w służbie Bożej dobrodziejowi naszemu, i wiele ludu ze wsi sąsiednich się ściąga, bo to niby i jarmark na on dzień koło cerkwi staje: dostaniesz soli, obo- dów, skór, gotowego nawet obuwia, czapek baranich, dziegieciu, dostaniesz chustek, rantuchów, wstążek, paciorków błyszczących, a nawet i prawdziwych koralu. Dziady, swoim zwyczajem, gromadę na *prażnik* cią- gną i zblizka i zdaleka; ślepi i chromi, a nawet i beznodzy, *teleżkami* się włoką. Zeszło się ich nie- mało. Przyszedł i tamten; bodajby lepiej skrósł ziemi pierwój poszedł, przekłęty!... Przyszedł... wysoki, ple- czysty, silny, jak ten dąb; tylko że na szedzule miał jedną nogę i na jedno oko był ślepy; ale drugie czar- ne, iskrzące, strasznie jakoś *zerkato* z podelba zmarszczonego i z pod brwi gęstej, nawilęj; a i tamto, choć ślepe, lypało mu w powiece, wytrzeszczone, krwią całe zasze, czerwone, jakby węgiel zarzący; twarz miał żółkłą i jakby spuchłą, całkiem prawie zaros- łą włosiskami czarnymi, a broda skudłaczona sięgała mu do pasa i piersi zakrywała szeroko, jakby na nich owczyne całą rozpostarł; a jak czapkę zdjął z głowy, to pokazała się na niej taka *kuczma* obrzydła, jakby jej nigdy ani podstrzygł, ani rozczesal. Odzież na nim brudna, cała w dziurach i łatach, torbiska zasmolo- ne, bezdenne, a było ich aż trzy; kule dragi potężne, żelazem w dole okute; a lira, choć niestara, niepo- czesna jakaś i popękana. Straszny był, *pohany*, nigdy nie widziałem takiego dziada. Wszedł na cmentarz cerkiewny, na którym moc już narodu była i dziady we dwa rzędy od wrót aż do cerkwi siedzieli; zerk- nął na zebrzących że złością i włokąc się powoli,

rzucił okiem to w tę, to w owę stronę, jakby kogo szukał pomiędzy nimi, czy też upatrywał miejsca dla siebie.

(Dokończenie nastąpi).

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Ponawiając kilkakrotnie ogłoszenie nasze, zawiada- miamy wszystkich korespondentów przesyłających nam swe utwory, a szczególnie więrsze, że rękopisma nikomu zwracane nie będą, z wyjątkiem chyba prac większych rozmiarów, których autorowie osobiście znani są redakcyi. Zwyczaj ten przyjęty jest w całej prassie europejskiej, jako nieodzowny; inaczej bowiem z luźnych arkusików i kartek utworzyłyby się stosy, dla których osobne archiwum założyłby potrzeba.

Złożono w redakcyi Tygodnika Ilustrowanego od X. 12 starych książek francuzkich i niemieckich (!!!) dla biblioteki szpitala św. Łazarza.

Panu W. D. w Krzywonosiu. Myśl abymy się w podawaniu „Obrazów“ z różnych stron kraju trzymali jakiejs koleji, bardzo jest dobra, ale trudno i prawie niepodobna ją wykonać. Mu- simy brać co się znajdzie pod ręką; a jeśli ktoś z własnej chęci przysła nam n. p. Opis Wołynia, to nie możemy kazać mu czekać rok albo parę, aż po Mazowszu, Podlasiu, Litwie, Białorusi, przyjdzie kolej na Wołyn. — O Łęczycy i innych wy- mienionych przez pana miejscowościach pomyślimy jak bę- dzie można najprędzej. Nadesłana w tych dniach korespon- dencya wkrótce zostanie wydrukowaną.

Panu A. M. w Grodnie. Odpowiedz na „Ode do przyrody“ Deoty, nastrojem myśli i doskonałością formy powinnaby stać na równi ze swoim wzorem. Tymczasem w więrszu pań- skim zalet tych nie dostrzegamy i dlatego drukować go nie będziemy.

Bakalarzowi w Warszawie. W rebusach ogólnie przyjętą jest zasada, że układają się nie podług prawideł pisowni, tyl- ko podług brzmienia; małe więc uchybienia przeciw ortogra- fii za błąd poczytywane być nie mogą.

Panu A. P. w Grodnie. Oplatę prenumeracyjną na różne pisma, a między niemi na Tygodnik Ilustrowany, odebrali- śmy. Tygodnik, podług kontrol pocztowych, odesłano dnia 1 maja, wraz z Gazetą.

Panu W. L. w Chocimie. Pismo nasze, na które przesłałeś pan oplatę pod dniem 29 marca, wyeksperydowano ztąd po raz pierwój w bieżącym kwartale dnia 10 maja.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Ciechocinek, w czerwcu 1862 r.

Gdzie dzisiaj wznosi się Ciechocinek ze swemi za- kładami, tam niegdyś szeroko rozlana Wisła fale swe toczyła, a statki ładowne przesuwali się po jej nur- tach, zostawiając kotwice i szczątki żelazstwa, które po dziś dzień wydobywają z głębi ziemi.

Wiadomo że Gopło niegdyś stanowiło ogromny wodozbiór, zajmujący cały szereg jezior ku północy biegnących. Wody jego nosiły nazwę morza i łączyły się z Wartą, z zaginioną dziś rzeką Goplenicą, a No- teciem przelewały się do Wisły.

Dziś jego wody zmniejszyły się bardzo znacznie, i arterya ożywiająca bogate Kujawy, podnosząca zna- czenie Kruświcy, na zawsze bić przestała.

Do tej epoki opadnięcia Gopła odnieść wypada i wynurzenie się doliny ciechocińskiej z łona wód, które spływając z wolna, odsłoniły źródła słone.

Wieleś lat ubiedz musiało od owych niepamię- tnych czasów, bo Ciechocinek swój byt historyczny od sześciu liczy wieków.

Ziemie tę zwano niegdyś słońską, zapewne od źró- del wyrzucających wodę słoną. Zaledwie Konrad mazowiecki, na zgubę Polski, sprowadził choiwych Krzy- żaków, wnet sięgnęli łakomą ręką po ziemię słońską, i Konrad przywilejem w roku 1235 wydanym odstą- pił ją Zakonowi, wymawiając sobie tylko nieco soli, którą mu corocznie winien był oddawać. Krzyżacy już naówczas posiadali tu dwie warzelnie.

Przemysł nie miał przyjaciół w szlachcie polskiej; oddawano go w ręce mieszczan lub obcych przyby- szów, a w szeregu kłesk Polskę nawiedzających, wie- le zakładów niszczało. Warzelnie w Ciechocinku te- muż uległy losowi.

Płynęły zdroje słone i ginęły bezpożytecznie; rzecz- pospolita bowiem, mając nieprzebrane skarby w Wie- liczce i Bochni, nie dbała o spożytkowanie tamtych. Za panowania dopiero Stanisława Augusta Reichert robił poszukiwania soli w okolicy Ciechocinka.

Kiedy Prusom dostały się Kujawy w podziele, rząd, dowiedziawszy się że mieszkańcy Ciechocinka wywarzają dla siebie sól po domach, zabronił im tego, a sam zajął się zdrojami słonemi.

Za czasów księstwa warszawskiego, Marszałek Soult, otrzymawszy z rąk Napoleona I ordynacją raciążską, warzył i przedawał sól tameczną na swoją korzyść.

Z kolei rząd królestwa polskiego zajął się Ciecho- cinkiem i zaproponował ówczesnemu posiadaczowi,

Zawadzkiemu, zamiarę na inne dobra. Propozycya przyjęta została i Ciechocinek przeszedł na własność skarbu, który wypuścił go Walickiemu. Dzierżawca ów zbudował dwie tężnie i warzelnię, i od tego to czasu źródła słone ciechocińskie nabrały wagi.

W roku 1828 zaczęły zdrojowiska tutejsze słynąć pod względem lekarskim, lecz dopiero w roku 1835 poczęto stawiać łaźienki.

Wszystkich zdrojów jest obecnie dwanaście, rozmaitego składu chemicznego, smaku i mocy.

Ciechocinek składa się z dwóch części: nowy odsunięty jest na pół mili blisko od Wisły, dalej zaś o paręset sążni leży stary. W początkach ten ostatni używał wziętości; lecz z upływem czasu, skutkiem zbudowania w nim ozdobnych łaźienek, nowy Ciechocinek wziął przewagę.

Miejsce to w przyjemnym położeniu, lubo wiele ma jeszcze niedostatków, które zapewne z czasem usunięciem zostaną, dość wygodny jednak pobyt zapewnia szukającym w niem pomocy lekarskiej, i z zaprowadzeniem żeglugi parowej na Wisłę, stanowi dla mieszkańców stolicy przyjemną wycieczkę.

Zdrowiska ciechocińskie nie są pozbawione soli bromowych i jodowych, które czynią je bardzo skutecznymi w cierpieniach skrofulicznych, artrytycznych i reumatycznych; kąpiele zbawiennie działają w zastarzałych cierpieniach przymiotowych i wielu chronicznych przypadłościach. Ciechocinek też z każdym rokiem więcej zyskuje gości, a ług wywarzany z soli rozwożą ztąd po całym królestwie, do robienia kąpielei tak zwanych morskich.

Wody ciechocińskie zawierają nadto znaczną ilość chlorku sodu, czyli zwykłej soli kuchennej; ilość ta jednak zbyt jest mała, ażeby opłaciła wartość drzewa opałowego do wyparowania wody potrzebnego. Należało więc obmyśleć sposób usunięcia znacznej części wody bez pomocy ognia, i dopiero ług solny, doprowadzony do takiej mocy, że się z korzyścią wywarzać daje, zlewać w kotły czyli panwie i wystawiać na działanie ognia.

Otóż sposobem tym są tężnie czyli gradycznice, rodzaj rusztowań zbudowanych z balów, zaopatrzonych pomostem i po obu stronach obitych gęsto pokładami cierni. Wzdłuż boków u góry przy pomocy biegną rynnny, służące do rozprrowadzania solanki.

Woda pompuje się ze źródeł, z których główne, przeszło 4% soli zawierające, dochodzi głębokości 1409 stóp pod powierzchnią ziemi. Ztąd idzie podziemnymi rurami drewnianymi do maszyny parowej, która solankę za pomocą wodociągu żelaznego wyprowadza aż na wierzch pierwszej tężni, z kąd rynnami drewnianymi roz-

chodzi się po obydwóch jej bokach. Tężnia ta ma 900 stóp długości i 70 szerokości.

Na szczycie znajduje się anemometr, czyli chorągiewka wskazująca kierunek wiatru. Ponieważ tężnia ciągnie się z południa na północ, przeto ile razy wieje wiatr północny lub południowy, otwierają się wszystkie kraniki, któremi rynnny po obu stronach gęsto są zaopatrzone, i woda wylewa się niemi na



TANDECIARZ. (Rysował Abramowicz, podług szkicu Wł. Syrokomla).

TANDECIARZ.

W rogu ulicy, przy bramie,
Stoi z koszykiem Żyd stary;
Jak leek w warszawskiej dramie
Zachwala swoje towary,
I nie przepuści nikogo,
Aż się nawrzeszczy do syta:
„Ja wszystko przedam niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

„Niech jasne państwo pozwoli
Obaczyć towar wszelaki:
Mydło, co bez brzytwy goli,
Jak gdyby piśmiennik jaki;
Karty, co zmieniać się mogą,
To bardzo rzecz wysmienita!
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

„Ot cybuch! bursztyn jak jaje,
Nie włożyć w usta tak duży;
Wnet jasnym panem się zdaje,
Kto tylko z niego zakurzy.
Można na szlachtę ubogą
Dym puścić, gdy się z nią wita;
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

„Mam dzwonek—u tego dzwonka,
Serduszek takie jest przednie:
Jak pan w salonie zabrząka,
Służba ze strachu poblednie;
Lecz trzeba trzymać ją srogo,
Bo z dzwonka może być kwita;
Och! ja przedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

„Mam wodę na różne plamy:
Gdy nikną na przykład wdzięki,
Lub gdy się czasem zbrukamy
Dotknięciem niegodnej ręki.
I takie wymyć się mogą,
Co się od wziątków nacyta;
Och! ja sprzedaję niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta.

„Co? przestarzałe towary?
Jegomość! czy mówisz szczerze?
Ej stary jestem! ja stary,
W gruszki na wierzbie nie wierzę!
Poczciewość!... z biczem, z ostrogą
Na krótki popas zawita!
Ja przedam towar niedrogo,
Niech tylko jegomość spyta!

Wł. Syrokomla.

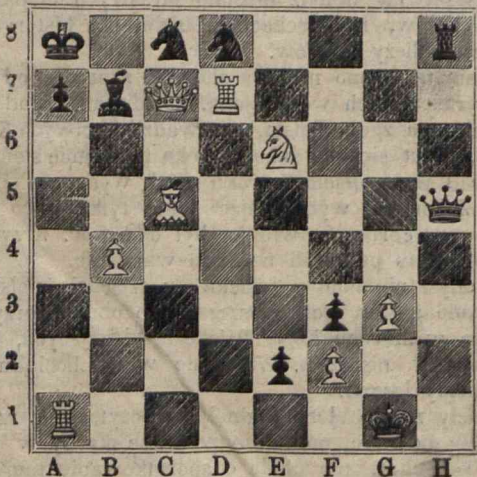
SZACHY.

ZADANIE CXII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

(Końcówka bardzo łatwa, dla szachistów początkujących).

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 111.

Białe.

Czarne.

- 1) G4 — H6 † 1) G8 — H8.
- 2) F1 — F7 † 2) D8 — G8.
- 3) F7 — G8 biorą † 3) A8 — G8 biorą.
- 4) H6 — F7 † i mat.

podkłada cierni. Spadając promykami cieniuchnemi z gałązki na gałązkę, paruje w tym przebiegu, i rozczyn solny, wzmocniony do 7u procentów, spływa do wodobioru. Jeżeli wieje wiatr zachodni, to otwierają kraniki tylko od strony wschodniej, aby wiatr nie rozpraszał solanki; gdy zaś wieje od wschodu, puszcza się solanka z rynnny zachodniej.

Stężona woda odpływa wodociągiem żelaznym na drugą tężnię, mającą 1000 stóp długości, i tu puszczo-na na stronę zachodnią, wzmocnia się do dwunastu procentów. Dalej pompa ssąca wynosi powtórnie, w górę, ług, który puszczonej na ciernie od wschodu, dochodzi do 18%; nakoniec przechodzi na trzecią tężnię, w środku dwóch pierwszych zbudowaną, i tu nabiera 22½ % mocy. Ztąd dopiero odpływa do wodobioru głównego, a z niego odprowadza się do warzelni, gdyż ług tej gęstości opłaca już koszt wywaru.

Rzecz prosta że dnie pogodne, suche i wietrzne niezmiernie ułatwiają robotę i wyższe wydają procenta; przeciwnie gdy chmurno jest i mglisto, stężanie wody idzie daleko wolniej; w czasie zaś deszczu i ślot tężnie całkiem nieczynnymi pozostają, bo wten-czas rozczyn, zamiast wzmacniać się, rozcieńczyłby się owszem przydatkiem wody deszczowej.

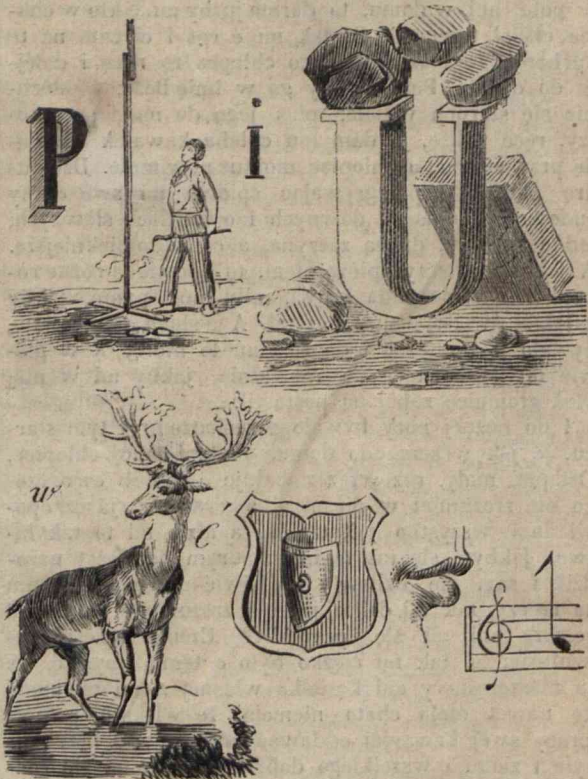
Ług wywarza się w siedmiu panwiach w ciągu 24 godzin, poczem sól wydobyta rozpościera się na blaszanych naczyniach i ztąd po wysuszeniu pakuje się w beczki, których każda panew dostarcza 60 w jednym warze.

Warzelnie soli w Ciechocinku przynoszą skarbowi 1,300,000 złp. rocznie.

Z wierzchołka tężni piękny jest widok na bogate Kujawy; dostrzegasz w dali ruiny zamku biskupów, Raciążek, Włocławek, a dobre oko sięga nawet Torunia.

Pod tężniami urządzone są przechadzki w celu lekarskim; powietrze bowiem w czasie spływania solanki napełnione jest wyziewami podobnymi morskim, których wdychanie, tak jak w Iwonicy, zbawiennie działa w zawiązku chorób piersiowych. Nowocześni lekarze uważają środek ten za bardzo skuteczny, i dlatego mniej zamożni, niemogący udawać się z powodu kosztów do kąpiel morskich, pomoc lub ulgę w cierpieniach znaleźć tu mogą.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 111.
Ślodycze małżeństwa często wieczera cukrowa kończy.